GREGG HURWITZ

ORPHAN X

CZŁOWIEK, KTÓREGO NIE MA

PROLOG

Próba ognia

Dwunastoletni Evan, wieziony w milczeniu, zesztywniał w miękkim fotelu czarnego sedana. Ma rozcięty policzek i siniaka na skroni. Krew spływa mu ciepłą strużką po szyi i miesza się z potem wywołanym paniką. Skórę na nadgarstkach ma otartą od obręczy kajdanek. Rytm serca dudni mu w piersi i pod czaszką.

Chłopiec ze wszystkich sił stara się nie dać nic po sobie poznać.

Jest w aucie zaledwie od pięciu minut.

Kierowca podał mu swoje nazwisko, Jack Johns. I nic więcej. Starszy mężczyzna, dobrze po pięćdziesiątce, o szerokiej twarzy, przystojny. Zbudowany jak łapacz, i nawet mruży oczy jak baseballista.

Jack wyciąga chustkę z tylnej kieszeni spodni, rozkłada ją energicznym ruchem i podaje mu nad deską rozdzielczą.

– Na twój policzek.

Evan patrzy na elegancką lnianą chustkę.

– Pobrudzi się krwią.

Na twarzy Jacka pojawia się uśmiech.

– Nic nie szkodzi.

Chłopiec wyciera twarz.

Był najmniejszym z dzieciaków, ostatnim, którego wybierano do drużyny. Tylko dzięki bezwzględnym wyzwaniom znalazł się w tym fotelu, został wyselekcjonowany.

Żaden dzieciak nie wiedział, co myśleć o Tajemniczym Mężczyźnie, który pojawił się przy starym boisku do koszykówki i przyglądał się chłopcom, jak grali i zmagali się ze sobą. Ukryty za szkłami ray-banów, wodził palcami po drucianej siatce i palił jednego papierosa za drugim. Poruszał się powoli, nigdy się nie spieszył, a jednak za każdym razem znikał równie szybko, jak się pojawiał. Na jego temat krążyło wiele teorii. Mówiono na niego Teofil Pedofil. Przypuszczano, że to zamożny biznesmen szukający dziecka do adopcji. Handlarz ludzkimi organami działający na czarnym rynku. Albo werbownik do greckiej mafii.

Evan był gotów zaryzykować.

Został wzięty nagle, jakby porwany przez kosmitów, wciągnięty promieniem energii wprost z ulicy na pokład latającego spodka. Próba ognia, tak – werbunek do czegoś, ale Evan wciąż nie ma pojęcia, co to może być.

Wie tylko, że cokolwiek go teraz czeka, musi być lepsze niż życie, które pozostawił za sobą, w East Baltimore.

Burczenie w brzuchu wciąż go krępuje, nawet tutaj, teraz. Przegląda się w lusterku bocznym. Wygląda na niedożywionego. Może tam, dokąd jedzie, jedzenia będzie w bród.

Albo to on będzie jedzeniem.

Zbiera się w sobie. Odchrząkuje.

– Do czego ci jestem potrzebny? – pyta.

– Nie mogę ci jeszcze powiedzieć. – Jack przez pewien

czas prowadzi w milczeniu, aż najwyraźniej uświadamia sobie, że ta odpowiedź nie może zadowolić dzieciaka w takiej sytuacji jak Evan. – Może nie powiem ci wszystkiego od razu – dodaje, niemal przepraszającym tonem – ale nigdy cię nie okłamię.

Evan mu się przygląda. I postanawia zaufać.

– Będzie bolało?

Jack prowadzi auto, przez cały czas patrzy przed siebie.

– Od czasu do czasu – odpowiada.

1

Kwestia porannych napojów

Po odebraniu w Las Vegas od rusznikarza o dziewięciu palcach zestawu tłumików do pistoletu Evan Smoak ruszył w stronę domu swoim fordem pick-upem, starając się nie zwracać uwagi na ranę od noża.

Rozcięto mu przedramię podczas sprzeczki na postoju dla ciężarówek. Zwykle nie lubił mieszać się w nic poza swoimi misjami, ale chodziło o piętnastolatkę, która rozpaczliwie potrzebowała pomocy. No i teraz miał kłopot, usiłował nie pobrudzić krwią deski rozdzielczej, zanim wróci do domu, gdzie opatrzy ranę jak należy. Na razie przewiązał rozcięte przedramię skarpetką, zaciągając węzeł zębami.

Dobrze będzie wrócić do domu. Nie spał od półtorej doby. Myślał o butelce potrójnie destylowanej wódki w chłodziarce Sub-Zero. Myślał o gorącym prysznicu i miękkiej pościeli. Myślał o telefonie RoamZone w schowku na rękawiczki i o tym, że może zadzwonić właściwie lada dzień.

Kierując się na zachód przez zakorkowane Beverly Hills, znalazł się w tak zwanym Korytarzu Wilshire, ciągu apartamentowych wieżowców, które w Los Angeles miały

rangę drapaczy chmur. Budynek, w którym mieszkał, o ekstrawaganckiej nazwie Castle Heights, był w całym szeregu najbardziej wysunięty na wschód, dzięki czemu z wyższych pięter rozciągał się wspaniały widok na centrum. Nieodnawiany od lat dziewięćdziesiątych, z błyszczącymi mosiężnymi wykończeniami i marmurami w łososiowym odcieniu, miał nieco staroświecką aurę.

Ani luksusowy, ani modny, w mieście, w którym liczyło się jedno albo drugie, Castle Heights w pełni odpowiadał potrzebom Evana. Przyciągał staroświeckich dobrze sytuowanych ludzi, chirurgów, prawników i siwowłosych emerytów, mogących poszczycić się długoletnim członkostwem w country clubie. Kilka lat temu sprowadził się tu kontrowersyjny obrońca Lakersów, sprawiając, że budynek przez krótki czas stał się obiektem zainteresowania nieznośnej prasy. Jednak koszykarz szybko się wyniósł, a pozostali mieszkańcy mogli znów cieszyć się ciszą i umiarkowanym komfortem.

Evan przejechał przez bramę, dając odprowadzającemu samochody znak, że sam zaparkuje, po czym skręcił na zjazd do podziemi budynku. Jego pick-up idealnie zmieścił się w prześwicie pomiędzy dwiema betonowymi kolumnami, gdzie nie rzucał się w oczy z dala od blasku podsufitowych świetlówek.

W samotności, siedząc za kierownicą auta, rozwiązał opatrunek ze skarpetki, by obejrzeć ranę. Jej brzegi były gładkie i czyste, ale wyglądała paskudnie. Krew pozlepiała włoski na przedramieniu i jeszcze całkiem nie zakrzepła. Zranienie było powierzchowne. Sześć, może siedem szwów.

Ze schowka w desce rozdzielczej wyjął telefon. Był wykonany z utwardzanej czarnej gumy, z obudową z włókna

szklanego i specjalnego wzmocnionego szkła. Trzymał go zawsze blisko, aby usłyszeć sygnał.

Zawsze.

Spojrzał w lusterko wsteczne i upewnił się, że w garażu nikogo nie ma. Wyszedł i przebrał się w jedną z czarnych bluz dresowych, które miał ukryte z tyłu, za fotelem. Tłumiki włożył do papierowej torby na zakupy. Zakrył je zakrwawioną koszulą i skarpetką.

Sprawdził poziom baterii w telefonie (dwie kreski), wsunął go do przedniej kieszeni i wspiął się schodami na parter.

Przed drzwiami wziął głęboki oddech, szykując się na przejście z jednego świata do drugiego.

Wszedł do holu, chłodne powietrze niosło aromat świeżo ściętych kwiatów. Podeszwy jego butów skrzypiały na płytkach, gdy przechodził przez gwarne lobby i uśmiechał się słabo do mieszkańców, kręcących się tam i z powrotem z torbami pełnymi zakupów albo rozmawiających przez telefony. Był po trzydziestce i całkiem wysportowany, ale nie tak muskularny, aby rzucać się w oczy. Ot, przeciętny facet, nieszczególnie przystojny.

Castle Heights szczycił się doskonałymi zabezpieczeniami, a należała do nich między innymi obsługa wind kontrolowanych ze stanowiska ochrony. Evan skinął na strażnika siedzącego wygodnie przed panelem ekranów, za kontuarem.

– Poproszę dwudzieste, Joaquin – rzucił.

Za nim rozległ się czyjś głos.

– Czemu nie powiesz po prostu „penthouse”? To piętro penthouse’u. – Koścista dłoń jak szpony zacisnęła się na jego zranionym przedramieniu. Poczuł pod bluzą falę palącego żaru.

Odwrócił się do niskiej, wychudzonej kobiety, Idy Rosenbaum spod 6G, i zmusił się do uśmiechu.

– W sumie racja, proszę pani.

– Poza tym – ciągnęła – w sali konferencyjnej na dziewiątym piętrze mamy zebranie mieszkańców. Właśnie się zaczyna. O ile dobrze policzyłam, nie było cię na trzech ostatnich.

Aby powetować sobie utratę słuchu, mówiła gromkim głosem, informując wszystkich obecnych w holu o nieusprawiedliwionych nieobecnościach Evana.

Rozległ się sygnał nadjeżdżającej windy.

Chwyt pani Rosenbaum przybrał na sile.

Spojrzała władczo na Joaquina.

– Pójdzie teraz na zebranie mieszkańców.

– Poczekajcie! Zatrzymać windę! – Kobieta spod 12B, Mia Hall, pomagając sobie biodrem, otworzyła przeszklone drzwi frontowe. W jednej ręce miała ciężką torbę, drugą ściskała dłoń synka, między policzkiem a ramieniem przytrzymywała iPhone'a.

Evan odetchnął ciężko i gdy wsiedli do kabiny, uwolnił się z uchwytu pani Rosenbaum. Poczuł, że znów krwawi, materiał bluzy przylepiał się do skóry.

Mia, zmierzając w ich stronę i ciągnąc za sobą ośmioletniego synka, mówiła do telefonu śpiewnym tonem:

– Najlepsze, chociaż spóźnione życzenia urodzinowe, sto lat, sto lat. Wybacz, ale zepsuł mi się samochód i byłam u mechanika, który powiedział, że trzeba wymienić klocki hamulcowe. Dlatego nie zdążyłam odebrać Petera ze szkoły i musiał pójść do kolegi, a ja zapomniałam napisać ci wiadomość. Jeszcze raz sto lat, sto lat, niech żyje, żyyyje nam! Wszystkiego najlepszego!

Odsunęła policzek od ramienia, pozwalając, by telefon spadł do obszernej torby.

– Przepraszam! Bardzo przepraszam! Dzięki!

Wpadła do kabiny i zawołała:

– Cześć, Joaquin! Nie mamy teraz spotkania mieszkańców?

– Mamy – odpowiedziała krótko pani Rosenbaum.

Joaquin uniósł brwi i spojrzał na Evana.

– Przykro mi, brachu. – A po chwili drzwi za nimi się zamknęły. Zapach perfum Idy Rosenbaum z bliskiej odległości wręcz powalał.

Wkrótce przerwała ciszę w windzie.

– Przez cały czas wszyscy chodzą przylepieni do telefonów – zwróciła się do Mii. – Wiesz, kto to przewidział? Mój Herb, niech spoczywa w spokoju. Powiedział: któregoś dnia stanie się tak, że ludzie będą całymi dniami gadać do ekranów i nie będą nawet potrzebowali innych ludzi.

Gdy Mia nawiązała rozmowę, Evan spojrzał na Petera, który przyglądał mu się dużymi ciemnymi oczami. Proste jasne włosy przylegały mu do głowy, z wyjątkiem jednego kosmyka, który sterczał dumnie, zawijając się do tyłu i opierając grawitacji. Na czole chłopiec miał kolorowy plaster. Przekrzywił głowę, popatrując na stopę Evana. Powoli Evan zaczął odczuwać chłód powietrza na gołej kostce. Nie miał przecież skarpetki. Zrobił pół kroku do tyłu, ukrywając stopę przed wzrokiem chłopca.

Dobiegł go głos Mii.

Najwyraźniej zadała mu pytanie. Uniósł wzrok i spojrzał na nią. Drobne piegi, niewidoczne w innym, słabszym świetle, pokrywały grzbiet jej nosa, a bujne kasztanowe włosy jak zawsze były w nieładzie. Na ogół widywał ją w zwariowanych sytuacjach typowych dla samotnej matki

– biegnącą w samych rajstopach, lekko zdyszaną, wymachującą tornistrem i pudełkiem śniadaniowym z wizerunkiem Batmana. Teraz, w blasku panującym wewnątrz windy, ujrzał ją w całkiem innym świetle.

– Słucham? – powiedział.

– Nie uważasz? – powtórzyła, z czułością gładząc Petera po włosach. – Że życie byłoby nudne, gdyby nie inni ludzie, którzy nam je komplikują?

Evan poczuł, że rękaw bluzy staje się coraz wilgotniejszy.

– Jasne – odparł.

– Mamo? Mamo. Mamo! Plaster mi się odlepił.

– Oto potwierdzenie – rzuciła do pani Rosenbaum, która nie odwzajemniła uśmiechu. Mia zaczęła grzebać w torebce.

– Mam tu gdzieś zapas.

– Ten z Muppetami – powiedział Peter. Miał ochrypły głos, niepasujący do ośmiolatka. – Chcę Zwierzaka.

– Masz już Zwierzaka. Na czole.

– No to Kermita.

– Kermit był dziś rano. Może Miss Piggy?

– Nie ma mowy. Gonzo.

– Mamy Gonza!

Gdy przygładziła końce plastra kciukami i równocześnie pocałowała Petera w czoło, Evan zaryzykował i zerknął na swój rękaw. Był cały przesiąknięty krwią, czarny materiał na wysokości przedramienia wydawał się jeszcze ciemniejszy. Poruszył się i tłumiki zabrzęczały w papierowej torbie na zakupy, zwisającej u jego boku. Na powierzchni torby pojawiła się plama – krew z przemoczonej skarpetki zaczęła wsiąkać w papier. Zaciskając mocno zęby, odwrócił torbę i postawił ją na podłodze, wilgotną stroną do ściany.

– Jesteś Evan, tak? – Mia znów skupiła uwagę na nim.

– Mówiłeś, że czym się zajmujesz?

– Importem.

– Ach, tak. A co importujesz?

Spojrzał na wskaźniki pięter. Kabina pięła się w górę w żółwim tempie.

– Przemysłowe środki czyszczące. Sprzedajemy głównie hotelom i restauracjom.

Mia oparła się ramieniem o ścianę. Pomiędzy rozchylającymi się połami marynarki z brakującym guzikiem, podróbki znanej marki, widać było elegancką koszulę.

– To jak? Nie spytasz, czym ja się zajmuję? – Jej ton był swobodny, choć daleki od flirtu. – Na tym polega konwersacja.

Prokurator okręgowy w Torrance Courthouse. Owdowiała od pięciu lat z okładem. Małe mieszkanko na jedenastym piętrze kupiła parę miesięcy temu za to, co jej zostało z ubezpieczenia na życie.

Evan uśmiechnął się pogodnie.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem prokuratorem okręgowym – powiedziała z udawanym zadęciem. – Więc lepiej miej się na baczności.

Miał nadzieję, że odgłos, jaki z siebie wydał, zostanie odczytany jako wyraz uznania. Pokiwała głową z zadowoleniem i wyjęła z torebki muffinkę z makiem. Kątem oka Evan zauważył, że Peter znów z zaciekawieniem przygląda się jego kostce.

Winda zatrzymała się na ósmym piętrze. Prosto z sali klubowej do kabiny weszła grupka prowadzona przez Hugh Waltersa, prezesa samorządu mieszkańców i urodzonego oratora.

– Doskonale, doskonale – powiedział. – Obecność na dzisiejszym zebraniu jest niezbędna. Będziemy głosować,

jakie napoje należy rano serwować w lobby.

– Prawdę mówiąc... – bąknął Evan.

– Bezkofeinową czy zwykłą.

– A kto w ogóle pija bezkofeinową? – spytała Lorilee Smithson spod 3F, zamężna po raz trzeci, o twarzy nabierającej coraz bardziej kocich cech po dekadach kolejnych operacji plastycznych.

– Chorzy na serce – odezwała się pani Rosenbaum.

– Daj spokój, Ida – oburzyła się Lorilee. – Docinasz mi, bo jestem piękna.

– Nie, docinam ci, bo jesteś głupia.

– Powinniśmy mieć też w ofercie kombuczę – wtrącił Johnny Middleton spod osiem E. Czterdziestoparolatek z przeszczepianymi włosami, wprowadził się do Castle Heights przed kilkoma laty ze swoim owdowiałym ojcem, emerytowanym dyrektorem finansowym. Jak zawsze, Johnny miał na sobie termoizolacyjny dres z logo szkoły mieszanych sztuk walki, które trenował albo raczej bez przerwy o nich mówił, od ponad dwóch lat. – Zawiera probiotyki i antyciała. Jest o wiele zdrowsza od bezkofeinowej.

Do kabiny wsiadło jeszcze kilka osób, zmuszając Evana do wycofania się pod ścianę. Świerzbiła go skóra; krew w jego żyłach nieomal wrzała ze zniecierpliwienia.

Teatry wojny i strefy wysokiego zagrożenia sprawiały, że potrafił się skupić i odnaleźć wewnętrzny spokój, ale luźne pogawędki w Castle Heights nieodmiennie wytrącały go z równowagi.

Mia oderwała wzrok od podjadanej muffinki i zerknęła na niego z ukosa, wywracając oczami.

– Ostatnio rzadko się widywaliśmy, panie Smoak – powiedział Hugh z wystudiowanym lekceważeniem

w głosie. Świdrujące oczy patrzyły przenikliwie zza szkieł okularów w czarnych oprawkach, tak staroświeckich, że znów stały się modne. – Zechce pan zabrać głos w kwestii porannych napojów?

Evan odchrząknął.

– Nie odczuwam silnej potrzeby picia kombuczy.

– Może gdyby pan czasem poćwiczył, zamiast siedzieć całymi dniami w tabelkach – skomentował suflerskim szeptem Johnny, wywołując chichot Lorilee i karcące spojrzenia pozostałych.

Usiłując nad sobą zapanować, Evan spuścił wzrok i patrzył, jak plama na rękawie powoli się powiększa. Jakby od niechcenia skrzyżował ręce, zakrywając krew.

– Twoja bluza – wyszeptała Mia. Nachyliła się ku niemu, przynosząc przyjemny zapach odżywki do włosów z trawą cytrynową. – Jest wilgotna.

– Zalałem się czymś, w samochodzie – odparł Evan.

Nie odrywała wzroku od rękawa jego bluzy, więc dodał pospiesznie:

– Sokiem z winogron.

– Sokiem z winogron?

Kabina zatrzymała się nagle, z silnym szarpnięciem.

– Ojej – odezwała się Lorilee – Co się stało?

– Może te twoje napompowane usta nacisnęły przycisk awaryjny – odparła pani Rosenbaum.

W ciasnej kabinie mieszkańcy zaczęli kręcić się niespokojnie jak bydło stłoczone w zagrodzie. Niewyraźny kształt tuż obok zwrócił uwagę Evana. Peter przykucnął, zacisnął małe paluszki na skraju jego spodni i zadarł lekko nogawkę, aby odsłonić podejrzaną gołą kostkę. Evan energicznie cofnął stopę, przypadkiem potrącając papierową

torbę. Jeden z tłumików wyturlał się z niej i z brzękiem potoczył po podłodze.

Chłopczyk aż wytrzeszczył oczy, po czym błyskawicznie podniósł metalową tuleję i wcisnął na powrót do torby.

– Peter – rzuciła Mia. – Podnieś się. Nie tarzamy się po podłodze. Co ty wyprawiasz?

Podniósł się nieśmiało, ściskając jedną dłoń palcami drugiej.

– Upuściłem coś – rzekł Evan. – A on mi to podniósł.

– Co to było, u licha? – spytał Johnny.

Evan postanowił uznać to pytanie za retoryczne.

Johnny w końcu odblokował kabinę i winda znów zaczęła piąć się w górę. Kiedy dotarli do dziewiątego piętra, Hugh otworzył drzwi i przytrzymał je. Popatrzył na Petera i Mię.

– Zakładam, że nie masz opieki do dziecka?

Osiem kobiet znajdujących się w pobliżu na te słowa aż się zjeżyło.

– Jestem samotną matką – odparła Mia.

– Regulamin samorządu mieszkańców jasno stwierdza, że podczas zebrań członków komitetu nie mogą być obecne dzieci.

– No i dobrze, Hugh. – Mia posłała mu promienny uśmiech. – Dlatego przegrasz w głosowaniu w sprawie rozwieszenia begonii wokół basenu.

Hugh zmarszczył brwi i wyszedł wraz z pozostałymi do holu.

Evan chciał zostać w windzie z Mią i Peterem, ale pani Rosenbaum znów zacisnęła palce na jego przedramieniu, krusząc zasychające strupy pod materiałem bluzy.

– Idziemy – powiedziała. – Mieszkasz w tym budynku, więc musisz wypełniać swoje obowiązki jak wszyscy inni.

– Przykro mi – odparł Evan – Muszę wracać do tych moich tabelek.

Uwolnił się z chwytu pani Rosenbaum. Opuszki jej palców były ubrudzone krwią. Jakby mimochodem uścisnął dłoń kobiety, wykorzystując okazję, żeby wytrzeć jej palce.

Drzwi się zamknęły. Mia zawinęła resztkę muffinki w papier, wrzuciła do torebki i unosząc wzrok ku sufitowi, westchnęła przeciągle. Wjeżdżali windą na górę w kompletnym milczeniu. Evan podniósł z podłogi papierową torbę i zagiął ją u góry, zasłaniając wilgotną plamę. Gołą stopę i zranione ramię zbliżył do ściany, aby nie zwracały uwagi Mii i Petera.

Chłopiec wpatrywał się z przestrzeń. Dojechali na jedenaste, Mia pożegnała się i wysiadła, ciągnąc za sobą Petera. Drzwi już zaczęły się za nimi zamykać, gdy nagle mała rączka wcisnęła się w szczelinę i natychmiast znowu się rozsunęły.

Evan zobaczył Petera, na którego twarzy malowała się głęboka powaga, nieco tylko umniejszona przez Gonza zdobiącego plaster na czole.

– Dzięki, że mnie nie wydałeś – powiedział.

Zanim Evan zdążył odpowiedzieć, drzwi kabiny znów się zamknęły.

2

Forteca Samotności

Na pierwszy rzut oka drzwi do apartamentu 21A wyglądały tak samo jak wszystkie inne. Spełniały ustalenia samorządu i nie przykuwały wzroku Hugh Waltersa podczas jego comiesięcznych inspekcji. Hugh nie wiedział jednak, że pod cienką warstwą drewnianego laminatu znajdowała się ognioodporna stal, zdolna, zgodnie z atestem, przez sześć godzin opierać się silnemu pożarowi, wytrzymać uderzenia tarana i znieść eksplozje ładunków mających zniszczyć zawiasy i wyważyć drzwi.

Dotarłszy w końcu do mieszkania, Evan wsunął klucz do zwykłego z pozoru zamka. Kiedy go przekręcił, ukryty system zasuw i blokad bezpieczeństwa zwolnił, przy wtórze nieco głośniejszego niż zwykle szczęknięcia.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, wyłączył alarm, postawił zakrwawioną papierową torbę na przeszklonym stoliku i zrobił przeciągły wydech.

Dom.

A przynajmniej jego namiastka.

Olbrzymie okna i balkony sprawiały, że narożny penthouse

wyróżniał się najrozleglejszą panoramą miasta. Ponad piętnaście kilometrów na wschód lśnił postrzępiony horyzont centrum, a od południa wznosiło się Century City.

Apartament na otwartym planie, z metalicznie szarą betonową posadzką, przecinał wolno stojący centralny kominek, liczne kolumny i stalowe spiralne schody na rzadko używaną antresolę, którą Evan przerobił na czytelnię. W kuchni były blaty z lanego betonu, urządzenia ze stali nierdzewnej i niklowane, a na ścianie lustrzane kafelki.

Szeroką wyspę otaczała rozległa przestrzeń wypełniona matami treningowymi, stanowiskami do ćwiczeń i kilkoma miejscami do wypoczynku.

Okna i przeszklone przesuwne drzwi wykonano z leksanu, kuloodpornej poliwęglanowej żywicy termoplastycznej, a podnoszone żaluzje stanowiły dodatkową ochronę przed kulami. Zbudowane z maleńkich, przeplatających się ze sobą pierścieni, niczym kolczuga, metalowe, pieczołowicie splecione żaluzje wykonano z rzadkiej odmiany tytanu. Mogły zatrzymać prawie każdy pocisk z broni snajperskiej, który zdołałby się przebić przez kuloodporne szyby.

Zapewniały też dodatkową osłonę przed ładunkami wybuchowymi, a równocześnie uniemożliwiały dostrzeżenie celu potencjalnemu obserwatorowi albo zamachowcy.

No i zapewniały doskonałą ochronę przed słońcem.

Nawet same ściany były zbrojone. Evan wprowadzał modernizacje powoli, przez lata, za każdym razem korzystając z usług innego dostawcy, przesyłając komponenty pod różne adresy i zwożąc je na miejsce. Kiedy musiał wynajmować instalatorów, dbał o to, aby nigdy do końca nie wiedzieli, co właściwie instalowali. Dzięki skrupulatnemu planowaniu i cierpliwości budował, niepostrzeżenie, Fortecę Samotności

tak, by nikt nie połapał się, w czym rzecz.

Uwielbiał świat, który stworzył za drzwiami apartamentu 21A. A jednak, gdyby zaszła potrzeba, był gotów opuścić go i porzucić raz na zawsze.

Udał się do kuchni, a jego buty stukały na polerowanym betonie. Jedyną plamą koloru i jedynym przejawem fantazji była żywa ściana obok kuchenki. W wertykalnym ogrodzie ze specjalnym systemem nawadniania rosły zioła: od mięty i rumianku do parzenia herbatki, poprzez kolendrę, pietruszkę, szałwię, bazylię i papryczki do omletów. Choć był już grudzień, rumianek, w starannie kontrolowanym środowisku penthouse'u, kwitł w najlepsze.

Evanowi od czasu do czasu zdarzało się zadumać nad tym, że jedynym, co prócz niego było tu żywe i z czym dzielił dom, były zioła.

Miał jednak Przykazania, a Przykazania były wszystkim.

Podszedł do lodówki, wyjął z szuflady chłodziarki przyjemnie oszronioną butelkę U'luvki, polskiej wódki, której nazwa odwoływała się do rodzaju kryształowego szkła. Wlał porządną porcję do shakera pełnego lodu, wstrząsnął, aż jego dłonie zaczęły przywierać do zimnego metalu, po czym przelał zawartość do schłodzonego kieliszka do martini. Napił się, pozwalając, by chłodny żar spłynął mu do gardła, i z rozkoszy zamknął oczy.

Przeszedł obok ściany ziół, sycąc się jej zapachem, i otworzył rozsuwane drzwi wychodzące na południe. Posadzkę balkonu wysypano drobnym kwarcem, który głośno chrzęścił pod stopami, ale dokładnie o to chodziło. System antywłamaniowy w oknach i framugach wychwytywał precyzyjnie dźwięk chrzęszczącego żwiru i był wyczulony na odgłosy nacisku każdego obiektu powyżej dwudziestu

kilogramów. Czujniki uruchamiały się, jeśli do szyby zbliżał się większy obiekt.

Prostokątna skrzynka przy krawędzi balkonu prócz karłowatych sukulentów zawierała spadochron wciśnięty we wnękę za ukrytym panelem, umożliwiający Evanowi błyskawiczną ucieczkę.

Opierając łokcie o poręcz, upił kolejny łyk i poczuł, jak wódka rozgrzewa mu policzki. W oddali, na brzegu kontynentu, skrzył się sierp Marina del Rey, łącząc z lądem granatowy jak noc bezmiar Pacyfiku.

Uwagę Evana zwróciło poruszenie w sąsiednim budynku. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, był apartament 19H. Joey Delarosa wyłonił się spoza wertikali, podjadając drewnianą łyżką prosto z garnka, a w tle widać było ekran telewizora z transmisją meczu futbolowego. Był księgowym niższego szczebla w dużej firmie i większość czasu po pracy poświęcał na jedzenie i oglądanie telewizji. Mniej więcej raz w miesiącu ruszał w tango, a potem wracał chwiejnym krokiem z tego czy innego baru w Westwood i szlochając, wydzwaniał do byłej żony. Jego telefony nie były przyjmowane; Joey nie przestrzegał zakazu nawiązywania kontaktu telefonicznego ze swoją eks i od trzech lat nie płacił zasądzonych alimentów. Po ostatniej wizycie Joeya jego wówczas jeszcze żona trafiła do szpitala i przez dwa dni leżała w śpiączce; syn miał już do końca życia kuleć, po tym jak połączono jego rosnące jeszcze kości sześciolatka specjalnymi płytkami mającymi umożliwić ich regenerację i zrośnięcie. Drzwi w kuchni Joeya, w pobliżu zsypu na śmieci, były zaopatrzone w zamek typu schlage, który Evan mógłby sforsować w pięć do siedmiu sekund za pomocą klasycznego łomu.